

Minęły pierwsze godziny lekcyjne i nastąpiła długa przerwa. Jakże zbawienno to czas dla ludzi, którzy chcieli rozsiewać plotki o rzekomym seryjnym mordercy w naszej szkole, a lekcje im w tym przeszkadzały. Korytarze aż huczały od rozmów, a tutaj zdarza się to naprawdę rzadko. Wychodząc z lekcji Pani Gräffs, nadal miałem w głowie jej słowa: *Nie panikujcie, już po sprawie*. Po sprawie? To znaczy, że szkoła nie zamierza szukać mordercy? Czegokolwiek zbadać? Przecież policja się tym zajmuje i oni tego tak nie zostawiają, więc jak to „po sprawie”. Nasza wspaniała nauczycielka matematyki właśnie zasugerowała, że nikt się nie będzie przejmował zamordowaną dziewczyną i nawet nie daje cienia szansy na wyjaśnienie okoliczności tego zdarzenia. No jasne, co za różnica, czy zabójstwo, czy samobójstwo — i tak wszyscy kiedyś umrzemy. Ta szkoła nadal mnie zaskakuje.

Przeszedłem przez korytarz czarnych bluz, unikając wszelkich spojrzeń w moją stronę. Te spojrzenia są jakieś takie toksyczne. Wystarczy, że ktoś na ciebie popatrzy tym depresyjnym wzrokiem i już odechciewa ci się żyć. Usiadłem na ławce pod salą muzyczną, która znajduje się na końcu głównego holu. Co ciekawe, tam nigdy nie gra muzyka. Uczą się tylko rysować nutki i jak zbudowane są skrzypce. Całe szczęście, że miałem muzykę tylko w I klasie, bo nauczyciel nosi aparat ortodontyczny i słuchowy. Kiedy coś mówi do ucznia, przybliża się do jego twarzy, aby lepiej usłyszeć możliwą odpowiedź, a przy tym z powodu aparatu wylewa falę śliny na biedaka.

Pośrodku holu stoi wielka okrągła donica z kwiatami (co prawda sztucznymi), a naokoło drewniana ławeczka. To miejsce dla elity. Tam na każdej długiej przerwie siada Bill Faulkner ze swoimi goryłami i kilkoma naprawdę ładnymi dziewczynami. On „rządzi tą szkołą”, ale tylko w jego mniemaniu. Ma na pieńku z każdym nauczycielem, jedyny przedmiot, z którego nie jest zagrożony to WF, a trafił tutaj, bo... w sumie nikt tego nie wie. Kibluje w trzeciej klasie już kilka lat i ci, co go znali od pierwszej klasy, już odeszli (interpretacja dowolna). Kiedy tu przyszedłem, wziął się na mnie, bo myślał, że skoro znam pedagoga, to będę miał fory u innych nauczycieli. Tak oczywiście nie było, ale dla niego to wystarczający powód, aby uprzykrzać mi życie. Cała ta jego grupka to kolesie niespełna rozwinięci umysłowo, a fizycznie „nadrozwinęci”. Dragi biorą chyba z pięć razy dziennie, bo wyglądają jak kulturyści drugiego sortu. Większość dziewczyn, które siedzą im na kolanach, to pustaki z toną makijażu. Gdyby zapytać o Wielkiego Gatsby'ego, to by zapewne powiedziały, że niezły, ale widziały większych. Ta hołota to po prostu margines szkoły. Najśmieszniejsze jest, że oni faktycznie uważają się za ludzi ważnych. Ich samobójstwa byłyby jeszcze bardziej świętowane niż samobójstwo paniusi-arystokratki. Obrzucają pierwszoroczników frytkami i papugują nauczycieli. Irytujące, ale nieszkodliwe. W każdym razie miałem nadzieję, że jak zawsze nie zwrócą uwagi na chudy cień, czytający Hamleta pod muzyczną. Tego dnia, o zgrozo... jak bardzo się myliłem.

Staralem się nie zwracać uwagi na tę szarą masę na środku holu, ale jednak okrzyki tych napakowanych kolesi i piski lasek skutecznie wypełniały dobre pół szkoły. Nagle na jednej ze stron mojej książki wyładowała frytka. Zrzuciłem ją i przetarłem tłustą plamę, jaką zostawiła.

— Yeah, Tom! Byku, rzut za sto punktów! — krzyknął Faulkner, wskazując na mnie. Nie chciałem awantury, więc wstałem z zamiarem szybkiego odwrotu. Niestety, kiedy postawiłem kilka kroków, wpadając się w książkę, wpadłem na jednego z jego goryli.

— Sorry — rzuciłem, z nadzieją, że oni zupełnie przypadkiem podnieśli się ze swoich miejsc, gdy ja chciałem odejść.

— Beidecker! Gdzie się śpieszysz? Nie pogadasz ze starym kumplem? — wykrzyknął arogancko, wyma-

chując dłońmi w teatralnym geście.

— Nie jesteśmy i nigdy nie będziemy kumplami, Faulkner — powiedział oschłym głosem, poirytowany całą sytuacją.

— Ooo, a ty ciągle jesteś zły za ten żart dwa lata temu? No weź, stary! To były jaja. Kupa zabawy! Haha, kupu! — Na słowo "kupa" banda ciot zaczęła pokładać się ze śmiechu. Spojrzałem na nich z politowaniem.

— Wiesz, nie było mi do śmiechu, kiedy przez miesiąc musiałem ukrywać pod czapką czerwone włosy. To było żalosne, Faulkner. Poziom żartów z gimnazjum.

— Miałeś paprykę na głowie, zanim to stało się modne. Ta, co dziś wyjechała z tej szkoły, też miała taki kolorek! — Tłum znów zarechotał.

— Charlotte była blondynką. — Kiedy zaczął nabijać się z zamordowanej dziewczyny, miałem tego dość. Spróbowałem wyjść z tłumu, jaki się wokół mnie zebrał, ale jego kolega skutecznie mi to uniemożliwił.

— Ach no tak, byyyła! — zawył, po czym spoważniał i zbliżył się do mnie tak, że nasze twarze dzieliły centymetry. — A może to ty ją zabiłeś?

— Faulkner, przestań bawić się w te chore gierki, które śmiesz tylko twoją bandę. Musiałoby mnie popieprzyć, żeby rozmawiać z tobą o Charlotte — powiedziałem. Po chwili każdy zamilkł. Już nie było słychać żadnych komentarzy ani nawet rechotów. Wszyscy wpatrywali się we mnie, a powietrze stało się nieznośnie ciężkie.

— Skoro tak mówisz, to my ci wpieprzymy, a ty z nami pogadasz — rzucił i zaraz po tym światło zgasło, a ja usłyszałem zanikający dźwięk dzwonka.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

pliszka, dodano 26.06.2020 09:12

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.